

DUKAJ

A surreal landscape where a face is formed by a nebula in a starry sky above a green field. The face is composed of glowing purple and blue gas clouds, with a central eye-like structure. The sky is filled with stars and a dense field of purple and blue nebulae. The foreground is a green field with some trees and mountains in the distance.

EXTENSA



JACEK
DUKAJ

EXTENSA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

Opieka redakcyjna serii
Anita Kasperek

Redakcja
Wiesława Otto-Weissowa

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 60g, vol. 2,0.

Wydanie drugie

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dzielowa

ISBN 978-83-08-04170-3

Miałem sześć lat, gdy odszedł dziadek Michał. Pamiętam bardzo dużo. Zwykle bawić się z Larysą przy jego grobie, za strumieniem. Rósł tam wielki dąb. Wspinaliśmy się po jego konarach. Grób dziadka był po lewej. Popołudniami ku niemu przesuwiał się cień dębu. Kładliśmy się w trawie, poza zasięgiem sękatych korzeni patriarchalnego drzewa, na miękkiej ziemi. Te same owady wędrowały po naszych ciążach. Patrzyło się w tłusty błękit, rozmawiało o niczym. Pół sen, pół jawa, dzieciństwo. Nad nami trzy krzyże: dziadek Michał, prababka Kunegunda, Hieronim; Hieronim był pierwszy.

Bliżej zmierzchu cień wskazywał właściwy cmentarz rodziny: ten po drugiej stronie strumienia, pod wierzbami. Krzyży sto siedemdziesiąt osiem. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, czego granicę stanowi strumień.

Bawiliśmy się pod dębem i na nim, ponieważ było to największe drzewo w okolicy. Z najwyższych jego gałęzi mogłem dojrzeć dachy naszej farmy, wieżę wiatraka. Przeczytałem o Talesie i nazajutrz pomierzyłem cień — mój i dębu. Był wysoki na czterdzieści siedem kroków sześciolatka. Zaiste, roślina-Bóg. Larysa zapytała, co robię, gdy tak szedłem powoli wprost na grób dziadka Michała. — Przywołuję duchy — odrzekłem, ponieważ istotnie miało to pozór rytuału. Z końca cienia zeskoczyłem między krzyże. Haaa-ha-haach! Nogi wysoko podnoszone, głęboko uginane w kolanach, ręce ostro złamane, twarz ku niebu. Tak dziecko przechodzi z zabawy w zabawę, nie ma zgrzytu w następujących po sobie akordach. Larysa się przyłączyła. Tańczyliśmy. Chichocząc.

Po setnym piruecie zobaczyłem go, siedzącego pod pniem, w kołysce korzeni. Palił fajkę. Zamarłem; Larysa się obejrzała i również go zobaczyła.

— Dziadek! — pisnęła i pobiegła ku niemu.

Dziadek Michał uśmiechnął się, wyciągnął ręce. Wpadła mu w objęcia z całym impetem. Stęknął i zaśmiał się — poznałem głos.

Podszedłem. Podniosłem i podałem mu fajkę, wytrąconą przez siostrę już na kolanach, obejmowała mocno za szyję, wtulała głowę pod siwą brodę. Jeszcze miesiąc temu zasypiała tak, w zapachu jego tytoniu, pod dotykiem jego wielkich dłoni — niemal co wieczór. Przenosił ją potem do łóżka. Larysa była najmłodsza, on był jej dębem.

Coś mu teraz szeptała do ucha. Stałem i patrzyłem, jeszcze chwila, a uciekłbym. Dziadek podniósł na mnie wzrok, uśmiechnął się, mruknął. Odwzajemniłem uśmiech.

Palcem wskazałem za siebie, na krzyż.

— Nie żyjesz.

Skinął głową.

— Ano.

Nie uciekłem zatem.

Siadłem obok. Dotknąłem jego ramienia — przez szorstki materiał koszuli; potem bezpośrednio jego dłoni, suchej, pomarszczonej skóry. Popatrywał z uśmiechem. Teraz wiem, bawiły go szeroko otwarte oczy dziecka. Oczy dziecka, zwierciadło naiwności, wszystko w nich jest prawdą, wszystko jest najzupełniej normalne, nawet w największym zdumieniu. — Gdzie byłeś? — pytała Larysa. — Zawsze przy tobie, wiewióreczko — odszeptywał, całując ją w czoło. Łzy w oczach starca, jeziora wybaczonego bólu, krzywd odpuszczonych.

Opowiedział nam bajkę. Czasami tak opowiadał. Teraz też; długą. Księżę i jego Księga. Księga była bardzo stara, pozostawała w rodzie od niepamiętnych czasów. Kiedy przychodziło do podejmowania ważnych decyzji, Księżę — jak wszyscy przed nim — zasięgał rady swego ojca. Otwierał Księgę, wypowiadał zaklęcie, duch Starego Księcia przybywał. Aż przyszło do szczególnie trudnego wyboru. Co robić, pyta Księżę. Ojciec nie wie, ale radzi zapytać jego własnego ojca — jak zawsze do tej pory pytał. Bierze Księgę i przywołuje Księcia-Dziadka. Dziadek — Księcia-Pradziadka. Pradziadek — Prapradziadka... I tak to idzie, w rytmie dziecięcej wyliczanki, w opadającej kadencji; śmialiśmy się i skandowali razem z dziadkiem.

Larysa w końcu usnęła. Słońce już zachodziło, pamiętam czerwień tamtego nieba, w takiej czerwieni lubiłem zasypiać, na pachnącej wilgotnym drewnem werandzie, w oddechu wielkiego domu, otwartego na wietrzne przestrzenie wszystkimi drzwiami i oknami... Dom! Musimy wracać! Poderwałem się, dziadek obudził Larysę. Wstawała niechętnie. Pociągnąłem ją, rozespaną, za rękę.

— Pamiętajcie o Księdze! — wołał za nami, już niewidoczny w cieniu potężnego dębu, gdy brodziliśmy przez zimny strumień. — Pamiętajcie o Księdze!

Potem zastanawiałem się, jak właściwie kończy się ta bajka; jak w ogóle może się ona zakończyć.

Miałem jeszcze nieraz okazję go spytać, ale wówczas jakoś nie przychodziło mi to do głowy. Niełatwo skupić na dłużej uwagę sześciolatka.

Duch dziadka opowiadał natomiast o wielu innych rzeczach. Pamiętam bardzo dużo.

1.

To zaczyna się niepostrzeżenie, przeważnie od porażenia banałem.

Którego dnia — ile wtedy masz lat? nie więcej niż kilkanaście — zdajesz sobie sprawę, że nigdy już nie będziesz dzieckiem. Nie przeżyjesz po raz drugi ani godziny, ani minuty z tego czasu. Już zatrzasnęły się zwrotnice, wszystko zaprzepaszczone, szanse wszystkie. Jak funkcja falowa — ze wszechmożliwości kollapsujesz do jednego jedynego stanu. Takie i tylko takie dzieciństwo poniesiesz w sobie aż do wieczności. Przegrywasz z każdym dniem.

Niby wszyscy dobrze o tym wiemy — ale ty nagle pojmujesz ostatnie konsekwencje, asymilujesz tę nieuchronność do samego rdzenia swej duszy, i nogi się pod tobą uginają, kręci ci się w głowie, siadasz na ziemi, przerażony, zrozpaczony, serce bije mocno, powoli. Liczysz, raz-dwa, trzy-cztery, pięć-sześć, to są kroki śmierci, tak się skrada, tak odmierza, zegar atomowy wszechświata, metronom rozpadu połowicznego, klepsydra entropii.

Żeby się wydobyć, trzeba rzeczy małych: smaku świeżego jabłka, zapachu nocy, śmiechu twojej małej siostry... Wstaniesz, w końcu wstaniesz, wszyscy wstajemy. Za tobą, na ziemi, cień-pokurcz: zwłoki dziecka.

Hodowaliśmy konie. Stado liczyło ponad dwieście sztuk. Kiedy spędzaliśmy je wszystkie do korralu, od grzmotu ich kopyt kamienie przewracały się w swych podziemnych legowiskach. Tylko my i Zapartowie prowadziliśmy hodowlę na taką skalę; ale stado Zapartów było prawie o połowę mniejsze. Wiosną przeganialiśmy wierzchowce po nieskończonych łąkach Zielonego Kraju i razu pewnego zdarzyło się, iż gdzieś w tej nieskończoności tabuny jednak się spotkały, wpadły na siebie, przemieszały. Od tamtego czasu znakowaliśmy zwierzęta. Nasz

znak to dwie odwrócone podkowy; Zapartów — krzyż. Znakowanie żrebaków odbywało się przeważnie na zewnątrz, na wybiegu. Czasami siadałem na ogrodzeniu, przyglądałem się. Ale nie było mnie przy tym, jak tato i dziadek Michał znakowali Trzecią Gwiazdę. Ezekiel mi opowiedział; a potem sam dziadek. Trzecia Gwiazda wyrwała się na moment i jeszcze leżąc, wierzgnęła tak nieszczęśliwie, że trafiła kopytem prosto w pierś starca. Uderzenie żrebaka nie było silne, lecz dziadek Michał wyraźnie poczuł, jak coś mu się tam w ciele przemieściło. Stracił dech, usiadł ciężko. Po chwili pojawił się ból, piekący, kłujący. Tato, Ezekiel i ciotka Tekla pochylali się nad dziadkiem. — Już dobrze, już dobrze — sapał. Nie było dobrze. Odniesli go do domu, do jego pokoju na piętrze przybudówki. Chciał pójść sam, okazało się, że muszą go wziąć pod ramiona; i skończyło się na tym, że go zanieśli — zawołali jeszcze Nataniela do pomocy. Mały Jan pogalopował po Doktora. Wtedy się dowiedziałem. Natychmiast pobiegłem do dziadka, ale tam już kłębiło się pół rodziny i mama odpędziła nas, mnie i Larysę. Larysa płakała. (Z płaczem Larysy było tak: czasem wywoływał u mnie dzikie napady złości, krzyczałem na siostrę, przedrzeźniałem ją, robiłem miny, więc ona tym głośniejszochała, więc tym większa złość rosła we mnie... a czasem — jej płacz podnosił wysokie fale współczucia, bliźniaczego smutku, próbowałem ją wówczas niezdarnie uspokajać, mamrotałem jakieś pocieszenia, przytulałem mocno, dzieci tak bardzo polegają na cielesności, dotyk i ciepło koili wszelkie nasze koszmary... Raz złość, raz współzucie — i zdawało się, nie istnieje reguła pozwalająca przewidzieć, który wzorzec reakcji akurat przeważy). Larysa, z oczyma pełnymi łez, schowała się pod schodami; wpęzłem za nią. Miejsca ciemne, miejsca ciepłe, duszne, miejsca półmroku — tam bezpieczeństwo, tam pociecha. — Umrze, umrze — chlipała. Usłyszała to zdanie od kogoś pod drzwiami dziadka i teraz powtarzała na głos, był to jej strach największy, ponieważ kompletnie niezrozumiała. — Nie umrze — mówiłem — nie umrze. — Umrze, umrze, umrze. — Niecały rok wcześniej umarła kuzynka Małgorzata. Wieczorem żyła, rano była martwa; nigdy potem już jej nie widzieliśmy. Zapytany tato odparł, iż zabrała ją śmierć. Teraz wróciły do Larysy wszystkie dziecinne strachy wobec nieznanego. Kciuk powędrował do buzi, wcisnęła się w kąt wnęki — chude kolana pod brodą, palce nóg skulone, włosy

koloru słomy kryją zapuchnięte oczy, łamie mi serce ten grymas bezgranicznej rozpacz na jej pulchnej twarzyczce, wykrzywione w płaczu wargi. Płacz wśród dzieci jest zaraźliwy; im dłużej na nią patrzyłem, tym bliższy byłem łez. Już drżały mi usta, już mrowiły policzki. Naraz złapałem ją za ramię. — Chodź. — Pociągnąłem, raz, drugi, trzeci, coraz silniej, aż się wreszcie ruszyła i odtąd dała już sobą powodować. — Chodź, zobaczymy.

Nasz dom składał się z kilkunastu mniejszych i większych budynków skupionych na planie prostokąta wokół najstarszej części: drewnianej chaty farmerskiej. Obecnie w chacie nocują już tylko goście, niemniej pozostała osią kompleksu. Od wschodu styka się z nią budynek największy (w którym i my mieszkaliśmy): trzykondygnacyjny, murowany, z sześcioma kominami, obszerną werandą i długim gankiem. Przybudówka dziadka znajduje się na jego tyłach. Ganek otacza wielki budynek dookoła, używaliśmy go także jako korytarza, tak przechodziło się z pokoju do pokoju. Często zakradaliśmy się nim (my, dzieci) pod okna zamkniętych przed nami pomieszczeń i podsłuchiwali, podpatrywali. Jeszcze częściej po prostu goniliśmy się po ganku do utraty tchu lub gniewnej interwencji któregoś z dorosłych. Matka krzyczała, że w końcu kiedyś połamiemy sobie karki. Jeśli już, to nie w ten sposób — istniały znacznie bardziej prawdopodobne. Mały Jan pokazał mi którejś nocy, jak wspiąć się na dach i jak przechodzić zeń na dachy innych budynków. Z perspektywy dachu wszystko było inne, miejsca doskonale znane okazywały się nagle egzotycznymi konstrukcjami tajemnego przeznaczenia. Wspinałem się, gdy tylko mogłem — czyli głównie nocą, bo za dnia zawsze istniało ryzyko odkrycia. Ale było w tym coś jeszcze: narkotyk wysokości. Z dachu widziałem nawet dąb. Wspinałem się i na dąb; z niego widziałem nasze dachy. I było także to: oddech wielkich przestrzeni. Zwłaszcza w noc, w ciepłe noce gwiazdziste. Sześć lat, tysiąc snów, wdrapywałem się między bliźniacze kwadratowe kominy, wznosiłem twarz, otwierałem usta, połykałem długimi haustami noc; noc połykała mnie. Ręka wiatru we włosach, w gardle pędzel zapachów (ziemi, trawy, dymu, ziemi), w uszach szum, straszny, wspaniały szum nieskończonych przestrzeni; ten niesłyszalny huk, który jest tłem każdej ciszy, a w takie noce po prostu rozsada ci czaszkę. Oparty plecami o komin, z szeroko otwartymi oczyma, ustami

wpółuchylonymi, drżałem, zziębnięty, rozgorączkowany. (Teraz jestem pewien: gdyby nie Mały Jan, gdyby nie dachy naszej farmy — nie przyjąłbym kielicha Mistrza Bartłomieja).

Istniały wszakże w tym królestwie ścieżki niższe i dreszcze łatwiejsze. Poprowadziłem Larysę. Wiedziałem, że z ganku można przeskoczyć na wykusz przybudówki i następnie tak się po nim przesunąć, stopa za stopą, by zajrzeć do wnętrza dziadkowej sypialni. Rzecz jasna, ten skok to było ryzyko śmiertelne — lecz dziecko nie widzi tego w ten sposób. Przeskoczyliśmy oboje — ja pierwszy, ona za mną — i nawet nie spojrzeliśmy w dół. Przykucnięci, zbliżyliśmy się do okna, jednym ruchem unieśli głowy. Był już wieczór, za plecami mieliśmy cień chmurnego nieba; przed sobą — ciepłe światło pełnego ludzi pokoju.

Był tam dziadek Michał — leżał w łóżku, nieruchomy, widzieliśmy jego ręce na kocu i garb nosa; był Doktor — chodził w kółko od drzwi do łóżka i z powrotem, co jakiś czas pochylał się nad dziadkiem i wsłuchiwał się w rytm jego oddechu, tętna; był tato, wujek Anastazy, wujek Karol, ciotki bliźniaczki; był Pastor, którego przyjazdu nie zauważyłem — on siedział na krześle przy nogach łóżka, tyłem do okna, z pochyloną głową, wyglądało jakby spał, ale potem przekonaliśmy się, że w istocie czytał z otwartego na kolanach modlitewnika.

Trwało to długie minuty, kwadranse. Zmierzchało już, podniósł się wiatr przednocy, poznałem go po zapachu. Co jakiś czas otwierały się drzwi sypialni, zaglądali do środka krewni. Ciotki bliźniaczki znowu zaczęły płakać. Doktor otworzył swą torbę, błysnął metal i szkło. Wkłuł się w ramię dziadka, wtoczył mu w żyłę jakąś ciemną ciecz, potem sięgnął do kamizelki, zerknął za zegarek. Palce dziadka zaciskały się na kocu; ja ściszałem spoconą dłoń Larysy. Na co tam czekaliśmy, kurczo — uczepieni parapetu, przyklejeni do ściany pięć metrów nad ziemią? Jaki sekret pragnęliśmy podpatrzeć?

Bo w końcu przecież podpatrzyliśmy. Dziadek nagle usiadł, zobaczyliśmy jego twarz, przerażone oczy, ślinę i krew na brodzie. Zaczął kaszleć, łapać się za pierś. Przypadł do niego Doktor, przypadł tato, reszta rodziny — aż Doktor musiał na nich nakrzyzczeć, dopiero się odsunęli. Dziadek, z twarzą wykrzywioną w bólu, szeptał coś charkotliwie. Widać nie mogli go zrozumieć, bo nagle się uciszyli, i wtedy zabrzmiały wyraźnie słowa Pastora: — Prawo Pana doskonałe — krze-

pi ducha; świadectwo Pana niezawodne — poucza prostaczka; nakazy Pana słuszne — radują serce; przykazanie Pana jaśniej i oświeca oczy... — Larysa złapała mnie mocno za koszulę, odwróciła głowę od okna. — Umrze, umrze, umrze, umrze. — No więc umrze; będziesz wreszcie cicho?! — warknąłem.

Tam wewnątrz działały się bowiem rzeczy przedziwne. Doktor wzniosł ponad głowę puste dłonie i odstąpił od łóżka. Tato, ciotki i wujkowie stali w milczeniu, nagle skamieniali. Pastor zaś, nachylony tuż nad dziadkiem Michałem, wrzeszczał nań z wściekłością:

— Aż po grób! Aż po grób! Aż po grób!

Nie bardzo wiedziałem, co by to miało znaczyć. Byłżeby to refren kolejnej modlitwy? Pastor wymawiał te trzy słowa głosem zarezerwowanym dla kazań potępieńczych; był odwrócony do okna plecami, lecz doskonale potrafiłem sobie wyobrazić, jak teraz wygląda jego twarz.

Co najdziwniejsze, dziadek zdawał się go mimo wszystko nie słyszeć. Patrzył pusto przed siebie — to znaczy gdzieś w prawo, w kąt sypialni między łóżkiem a drzwiami — i dyszał swoje. Banieczki krwi pękały mu na wargach. Zaczęło mi się zbierać na wymioty. Przełknąłem z wysiłkiem.

Wtem Pastor umilkł. Ktoś krzyknął; któraś z ciotek chyba. Zamigotała żarówka, na moment zrobiło się w pokoju ciemniej, jakby wielka ćma okrążyła lampę. Cień wypęczniał w miejscu, w które wpatrywał się dziadek Michał; wypęczniał, rozrósł się, napuchł na jedną trzecią pomieszczenia, po czym szybko się cofnął i rozpuścił.

Zielona sukienka, róża w ciemnych włosach, opalone, nagie ramiona. Uśmiecha się ciepło, podchodząc do dziadka, siadając na łóżku, ujmując drżącą rękę starca; on uśmiecha się do niej.

Wielka cisza. Pastor wznosi ramię, niczym do ciosu Mojżeszowego. Tato łapie go za to ramię, przytrzymuje. Ciotka Joanna odwraca się od nich wszystkich, opiera czoło o ścianę.

Młoda kobieta z różą we włosach z powrotem układa dziadka na łóżku, wsuwa mu pod głowę poduszkę. W tej ciszy usłyszałbym, gdyby coś powiedziała; nie mówi nic. Pochyla się nad dziadkiem. Myślałem, że go pocałuje — ale nie. Ociera wierzchem dłoni jego wpółotwarte usta, delikatnie zamyka mu powieki. Nadal uśmiecha się lekko. W uszach ma srebrne kolczyki, małe, lśniące.

Potem wstała, spojrzała na mnie, przyglądała sukienkę i rozplynęła się w powietrzu.

Miesiąc po tym, jak zabrała go piękna Śmierć, spotkaliśmy dziadka Michała pod dębem i opowiedział nam bajkę.

Później zdarzało się jeszcze, że odwiedzał nas, mnie i siostrę, gdy byliśmy razem, ale znacznie częściej przychodził do nas w samotności. Wiem, że zjawiał się regularnie, by utulić do snu Larysę, czekała na niego co wieczór. Dla mnie też istniał taki czas i takie miejsce — wystarczyło mianowicie, bym wspiął się na dach.

Skąd wychodził, dokąd odchodził — musiał przemieszczać się po drogach powietrza, inaczej usłyszałbym go, ciężkie kroki na klekoczących dachówkach.

Siadywał oparty o sąsiedni komin, spoglądaliśmy w tym samym kierunku. Wiatr unosił w ciemność zapach jego tytoniu.

— Król Midas złamał sobie nogę. Tato mówi, że nie zrośnie się dobrze.

— To był dziki koń.

— Chyba go zastrzelał. Daniel był na Targu i przepuścił mnóstwo forsy. Zapowiada, że się ożeni. Wszyscy są wściekli.

— Ha, pamiętam, jak przywiózł wtedy tę rudą dziewczuszkę od Mesenitów. Potem środek nocy i nagle słyszymy tętent, strzał i krzyki. Krewni się upomnieli. Mielibyśmy tu drugą Troję.

— Dziadku, ty babcię też poznałeś na Targu?

— Widzisz, mały, są targi i targi, he, he. Ale nie. To było w którąś wiosnę cudów. Prowadziliśmy stado od wybrzeża, kiedy zaczęło sy-pać diamentami. Parę chwil i ziemia wyglądała jak po ciężkim gradzie. Kuzynowi Tomaszowi wybiło oko. A, o, ta blizna, widzisz? — to też stąd. Konie oczywiście oszalały. Musieliśmy się rozdzielić, żeby poznać te najbardziej przerażone, które odbiegły najdalej — i tak z tuzin gdzieś przepadło. Zresztą wszystkie miały poranione kopyta. Ja pojechałem na zachód. Były po drodze mniejsze i większe zagajniki; musiałem sprawdzać co do jednego: tam mogły się schronić, tylko tam ziemia była czysta. Ale oczywiście same drzewa też sperwertowało i jak już...

— Per... co?

— Ach. Akurat wtedy była to szadź metaliczna. Rozumiesz, jakby je wszystkie okuto, do ostatniego listka, cieniutką warstwą żelaza. Po takiej wiośnie ziemia pozostaje jałowa na dekady. Byłeś kiedyś za Drogą Rzeką? Zajrzyj do Wodospadów, tam jeszcze stoi Skamieniały Gaj z dwudziestego siódmego.

— Róża ciotki Izabeli.

— No. To jest kryształ, wtedy obracało w kryształ.

— A człowieka? Też może tak spretewnować?

— Nie bój się, nie zdarza się to często. Mhm, no więc wjeżdżam do tego zagajnika i słyszę jakąś potworną kłótnię. Patrzę: trzy dziewczyny w bieliźnie biją się o jakąś szmatę. Ha, a kiedy mnie zobaczyły... Boże drogi!

— Dlaczego w bieliźnie?

— Wybrały się tam na piknik i wzięło je z zaskoczenia, ubrania im przyrzdewiały do trawy. Zdaje się, że ocalała tylko ta jedna bluzka, ale jak się zaczęły o nią kłócić...

— I babcia to była jedna z nich?

— Nie. Siostra najstarszej. Pojechałem na ich farmę dać znać rodzinie i Teresa zawiozła im ubrania.

— Oświadczyłeś się jej wtedy?

— Nie, no co ty? Przez następne dwa lata w ogóle jej nie widziałem. Tyle że pogadaliśmy trochę tamtego wieczoru; nocowałem u nich, pomogłem naprawić co większe szkody. Potem wyszliśmy na pogawędkę, tak się akurat złożyło, matka ją chyba wypędziła z kuchni... Teresa miała jeszcze fartuch w mące. Była pełnia, jak teraz. Zaczęła mi wróżyć z księżycowych chmur, pożartowaliśmy... takie tam...

— No to jak, dziadku? Kiedy postanowiłeś się z nią ożenić?

— A co ty tak nagle o tym ożenku?

— A-a, bo Daniel...

— Daniel...! Nie słuchaj biednego durnia. Kiedy postanowiłem, mhm. To jakoś tak małymi kroczkami. W ogóle zapomniałem o niej. Dwa lata, tak, dwa lata. Siadłem po jakimś cięższym rozczarowaniu i zacząłem się zastanawiać, z którą to kobietą właściwie czułem się najlepiej, w czyjej obecności, z czym uśmiechem. Aż doszedłem do Teresy i to był koniec konkurencji; a wtedy pomyślałem o niej po raz pierwszy od chyba roku. Jakoś te parę kwadransów tamtego wieczoru... Co

mi tam, powiedziałem sobie, wymyśliłem pretekst i pojechałem na ich farmę. Kalkulowałem: wyszła za mąż; będzie zupełnie inna... Ale była taka sama. Zaczęła mnie uczyć wróżb. Potem przyjechała do nas na święta. I już. Szybko stało się jasne, że prędzej czy później pobierzemy się. Śpiesz?

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl